ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Grudnia 1892. Nr. 23.

„ŚWIATŁO" wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na Górnym Szląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

W ZŁOTEJ KLATCE.

OPOWIADANIE Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

(Ciąg dalszy.)

Po tych słowach poznałem jego charakter. Dzieci chowane w niedoli dojrzewają i hartują się przedwcześnie.

— Ale ja zatrzymuję pana — rzekł cofając się w głąb ciemnego kąta — i przezemnie nie będzie pan widział przedstawienia... Tam teraz słonie pokazują sztuki. Niech pan nie zapomni tylko o co prosiłem!... — szepnął błagalnie myśląc, że już odchodzę. Ja przecież nie byłem ciekawy tych sztuk. powiedziałem mu to otwarcie, biorąc go przyjaźnie za rękę, jak również, skoro za chwilę usiedliśmy na sianie, to, iż radbym mu przyjść z pomocą, w czem tylko będzie można i potrzeba. Zdawał się z tego tak szczęśliwy, że niechciał z początku wierzyć moim słowom. Czas jakiś badawczo patrzał mi w oczy z tym wyrazem, z jakim patrzą dzieci, chcąc odgadnąć po nich człowieka, i nakoniec uwierzył widocznie, bo trzymając moję rękę w swych zziębłych dłoniach, powtarzał z radością;

— O jaki pan dobry! jaki dobry! żeby tylko »on« nie zastał nas tu razem, bobym już pana nie zobaczył więcej nigdy...

»On« znaczyło dyrektor, niemiec, bez odrobiny serca, który za najmniejszą rzecz bił go biczem bez miłosierdzia. Właśnie przed chwilą, nim tu przyszedł Harry, dostał dziesięć bolesnych batów za to, iż gdy zeskakiwał z konia noga mu się powinęła i zamiast stanąć na równych nogach ukląkł na kolanie, czego nawet publiczność nie miała czasu zauważyć. Zaraz potem przyszedł tu schronić się w ciemnym kącie, gdzie mógł się wypłakać do woli. Czuł jeszcze uderzenia na plecach i nogach, które przez cienkie ubranie znaczyły mu sine pręgi, ale mówił, że go już teraz, od kiedy mnie zobaczył, przestało całkiem boleć.

Powoli zaczął mi opowiadać o życiu jakie tu prowadzą, a opowiadał bez ładu, nie umiejąc sobie zdać sprawy z wielu rzeczy, drżąc ze wzruszenia na samo wspomnienie tego wszystkiego, co widocznie było mu nienawistne; a gdym się zapytał, co robi z temi kwiatami,

któremi tak często go zasypują, uśmiechnął się smutnie.

— Ach te kwiaty! ja je tak lubię! To największa nagroda moja, ale pan myśli, że to dla mnie? Należą do mnie, dopóki nie zejdę z areny, potem za kulisami wydzierają mi je wszyscy i wracam z próżnemi rękami.

— A ty, czy ich tu »wszystkich« tak nie lubisz, żebyś im sam nie dał? — zapytałem.

— O tak! Ja ich tu wszystkich nienawidzę! — odparł z przyciskiem.

Rozmawialiśmy tak długo — aż do stajni wbiegły z areny pomęczone konie. Wówczas Harry zerwał się.

— Muszę iść — szepnął trwożliwie — mogliby zauważyć moję nieobecność, a wtedy... — niedokończył, bojąc się wypowiedzieć w złą godzinę.

— A więc do widzenia — odparłem, podając mu rękę. — Będziemy zatem przyjaciołmi. Cóż! dobrze?...

— Jaki pan dobry! Kiedyż się znów zobaczymy? — pytał przytrzymując mnie jeszcze, — bo przyjaciele powinni się często widywać, prawda?

— Przyjdę tu jutro — ale pod warunkiem...

Zwrócił na mnie ciekawe spojrzenie ciemnych oczu.

— Że — mi opowiesz swoją historyę — dokończyłem.

— Moją historyę... — zamyślił się smutnie. — A zresztą, komu innemu bym nie powiedział, ale panu, — którego już kocham jak przyjaciela, opowiem, dobrze...

— A więc jutro, może na tem samem miejscu?...

— Tak, najpierw ja będę z dwoma tygrysami, ach, jak to męczy!... — dodał, rozbierając w myśli rozkład jutrzejszego przedstawienia, — potem, po pierwszym akcie, aż do drugiego, będzie dyrektor pokazywał swoje tresowane z wolnej ręki konie. Tak, to wtedy niech pan przyjdzie, między pierwszym a drugim aktem będę tu czekał, będziemy bezpieczni. A teraz do widzenie! — Kiwnął mi główką z uśmiechem.

— Do widzenia Harry!

— O nie nazywaj mnie pan tak przynajmniej! — zawołał porywczo, powstrzymując się z odejściem — nazywaj mnie tak, jak kiedyś wołano na mnie, gdym był jeszcze w domu: Jerzym.

— A więc, do widzenia Jerzy!

Uśmiechnął się słodko, z odległości paru kroków przesłał mi pocałunek końcem paluszków, jak zwykł był dawać z areny, nasunął na ramiona płaszczyk i zniknął wśród koni.

Zaraz po nim i ja wyszedłem.

Nazajutrz, pilno mi było, i gdy pora umówiona nadeszła, pospieszyłem do Jerzego. Dyrektor zajęty przygotowywaniem swoich koni do występu nie zauważył mnie wcale; zresztą trudno byłoby nawet zauważyć kogo na taką liczbę osób, codziennie zwiedzających stajnie. On, był to barczysty wysoki niemiec z piętnem surowości na starannie wygolonej twarzy, do której czarny frak, w jaki był przybrany, nie pasował bynajmniej. Gdym przechodził, doszło mię głośno przez niego wymówione imię Harrego. Obejrzałem się ostrożnie i ujrzałem chłopca, który w jednej chwili jakby wyrosłszy z pod ziemi, stanął przed nim w postawie żołnierza, oczekującego rozkazu wyższej władzy.

— Rozbieraj się! — krzyknął po niemiecku, ostrym głosem na niego, który zbiegłszy przed chwilą z areny, nie miał czasu na zdjęcie z siebie białego ubranka. Mały nie ruszył się z miejsca, gdzie jak wryty stał oczekując jeszcze dalszych poleceń, skoro w powietrzu rozległo się smagnięcie eleganckiej szpicruty. Było to dobitne podkreślenie słów: Możesz iść! na jego plecach. Nie pisnął nawet; uczynił wojskowy zwrot ku garderobie, gdzie zniknął. W chwilę potem dyrektor wraz ze swemi końmi wyszedł na arenę, gdzie go powitano gradem oklasków.

Niedługo czekałem na wczoraj umówionem miejscu przyjścia mego małego przyjaciela. Anim się nie spodział, jak stanął przy mnie.

Usiadł przy mnie i jakby dla pewności, że mu nie ucieknę, wziął w swe dłonie moją rękę.

— Widziałem, jak dyrektor powoływał cię do siebie, musiał być w złym humorze, nieprawdaż? — zapytałem.

— Dlaczego? O przeciwnie! zawsze kiedy sam ma przedstawiać swoje konie jest w humorze najlepszym.

— Za cóż cię więc uderzył?

Machnął ręką lekceważąco i uśmiechnął się.

— O panie! co to znaczy takie uderzenie cienkim biczem? Zawsze jak coś mówi, musi potem uderzyć tem, co trzyma w ręku. Ale czasami ma bat, to boli daleko więcej...

Mówiliśmy jeszcze o różnych rzeczach, aż mu przypomniałem wczorajszą obietnicę.

— Prawda! przyrzekłem panu opowiedzieć moją historyę. Mój Boże, nie opowiadałem jej jeszcze nikomu, bo nikt nie był jej ciekawy. Zresztą to nic wesołego, ale jeżeli pan chce... — Łzy stanęły mu w oczach, twarzyczka zadrgała nerwowo wzruszeniem, ale ją obtarł szybko aksamitnym rękawem wytartej kurteczki, która kiedyś musiała mu służyć do występów, a uspokoiwszy się nieco tak zaczął półgłosem:

— Najpierw, niech pan nie wierzy, że mam dopiero ośm lat, tak jak to zawsze drukują i »on« mówi, wcale nie. Miałem siódmy rok, jak mnie zabrali z domu, rok chodziłem po świecie z trupą kuglarzy, a piąty rok jak jestem tutaj. Mam już dwanaście lat, tylko, że jestem mały, drobny i nie wyglądam na tyle, a »on« chciałby, żebym całe życie takim pozostał, bo to więcej zadziwia publiczność.

Jest już więc sześć lat, jak byłem w domu i miałem rodziców, swoich własnych rodziców! — powtórzył z odblaskiem radości patrząc mi w oczy. — A pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj... Byłem wtedy taki szczęśliwy!... Mama, moja ukochana dobra mateczka nazywała mnie »swoim Jurkiem« i nieraz, jak zasypiałem w łóżeczku obok niej, opowiadała mi do snu o pięknym kraju i jego bohaterach, mówiąc zawsze przytem: Rośnij mój synku, rośnij i bądź takim, jak byli oni!...

Mieszkaliśmy na wsi i musieliśmy być bogatymi, bo pamiętam ślicznie było tam u nas i zawsze pełno gości. Tatuś kupił mi ślicznego konika i uczył na nim jeździć, a ja bardzo to lubiłem i nauczyłem się tak prędko, że jak tylko dużo gości przyjechało, wsadzano mnie na kucyka i popisywałem się w około domu przed gankiem. Rodzice cieszyli się mojem męstwem, a ja, który nie bałem się nigdy niczego, nauczyłem się sam różnych sztuk na moim kucyku, przyrzekając w duszy, że muszę kiedyś zostać takim bohaterem, o jakich mateczka opowiadała mi nieraz tyle, tyle pięknych rzeczy.

Tak mi szczęśliwie czas upływał; aż pewnego dnia mama zachorowała nagle. Musiała być bardzo chorą, bo poprzyjeżdżało wielu doktorów, a tatuś, biorąc mnie nieraz na kolana, mówił mi, bym prosił za nią Bozi i sam płakał przytem. Nie pozwalano mi pójść do jej pokoju, aż dopiero jednego dnia, skoro tatuś powiedział mi, że mnie odeśle do babci, bo sam zabiera mamę za granicę, pozwolono mi iść ją pożegnać. Leżała na łóżku bardzo blada i kiedy podszedłem pocałować ją w rękę, schyliła się do mego ucha i bardzo cicho powiedziała:

— Do widzenia Jerzy, nie zapominaj twej mamy i... bądź mężnym w życiu, synku!...

Rozpłakałem się głośno na jej widok, więc wynieśli mnie z pokoju. W parę dni potem byłem na wsi u mej babci.

Nie było mi tam gorzej jak w domu, bo babunia kochała mnie i pieściła, tylko tęskniłem za mamą. I tam miałem swego konika, myślałem więc często o tem, co mi powiedziała przy pożegnaniu i uczyłem się być mężnym.

Od tatusia przychodziły czasami listy do babci, która mi mówiła co w nich było napisano o mateczce, ale kiedy raz zapytałem jej, co znaczy ta czarna obwódka na ostatnim z listów, babunia wybuchła płaczem.

— Bądź odważnym Jurku i znieś cierpliwie boleść, jaką ci Bóg zsyła — rzekła tuląc mnie do siebie, — zostałeś sierotą, nie masz już matki!

Nie zrozumiałem jeszcze dobrze tej bolesnej nowiny, tembardziej, iż zmiany, zaszłe w domu, nie dały mi się dłużej nad nią zastanawiać. Babusia musiała wyjechać do tatusia, zostawiając mnie pod opieką starej służby, a na drugi dzień po jej wyjeździe zajęły mnie całkowicie przedstawienia wędrownych kuglarzy, którzy przybyli gdzieś z daleka i rozłożyli się taborem pod sztachetami ogrodu.

Byli to jak mówiono Cyganie, to przecież mnie nie odstraszało wcale od przyglądania im się całemi godzinami przez sztachety i podziwiania sztuk, jakie pokazywało z psami troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopiec. Pamiętam, że dziewczynki, tańczące z bębenkami na rozrzuconych po ziemi kulkach drewnianych, podobały mi się bardzo, ale ujrzawszy chłopca, pokazującego łamane sztuki z jedną z nich, powiedziałem, że ja umiem bez porównania ładniejsze i na dowód zacząłem się popisywać przed starym Cyganem. To dało początek rozmowie. Potem pokazałem im jeszcze moje sztuki na koniu; cała rodzina wybiegła podziwiać mnie i chwalić, z czego naturalnie niezmiernie byłem dumny. Zapraszali mnie do swej budy, obiecując pokazać wszystkie zabawki, ale bałem się, by kto nie zobaczył, bo niewolno mi było wyjść z ogrodu. Wieczorem dopiero wymknąłem się z domu i kiedy nikt nie zwracał uwagi wybiegłem za furtkę. Dziewczynki wziąwszy za ręce zaprowadziły mnie pod płócienny namiot i długo pokazywały różne ubranka, świecące kółka i bębenki, których tam miały mnóstwo. To zabrało nam tyle czasu, że gdy pomyślałem o powrocie do domu, była już noc. Przeląkłem się trochę, ale wnet uspokoili mnie słowami i przysmakami, a stary Cygan zawoławszy swej żony czy też matki pomówił z nią czas jakiś, a potem zwrócił się do mnie.

— Nie bój się nic paniczu, — ona cię odprowadzi do domu tylko inną drogą, żeby kto czasem nie zobaczył, a ty nic nie mów i idź z nią cicho...

Nie przyszło mi nawet na myśl, że to był podstęp. Stara kobieta ujęła mnie silnie za rękę i poprowadziła nieznanemi drogami. Chciałem się zapytać, gdzie idziemy tak długo, ale bałem się, by, jak mówił kuglarz, kto nie usłyszał. Szliśmy ciągle i w końcu znaleźliśmy się w lesie. Nogi już zaczęły mnie boleć, zapomniałem więc o nakazie i zacząłem wołać, że chcę do domu, do którego ta droga wcale nie prowadzi, bo nie potrzeba było tylko przejść furtkę, podwórze i ogród. Płacz również nic nie pomógł; wzięła mnie na ręce, strach, szum lasu i ciemności utuliły mnie do snu. Skoro rano otworzyłem oczy byliśmy w głębi zarośli, gdzie pozostaliśmy do wieczora. Przed nocą dopiero nadjechała buda, a w niej te same dzieci i stary Cygan, którzy byli pod naszym ogrodem. Stary pogładził mnie po głowie, dał cukierków i nie zważając na mój płacz, zwrócił się do kobiety.

— Cóż — zapytała ona — bardzo tam szukają?

— O, szukają! — odpowiedział — przetrząśli mi cały wóz, ale nic nie znaleźli i jeszcze przepraszali za posądzenie. Wrzawa tam straszna. Teraz szukają w stawie, myślą że utonął, poczekałem do południa i ruszyłem w las.

Dziwnym sposobem domyśliłem się, że mowa była o mnie, i że zostałem poprostu wykradzionym z domu, dokąd nie miałem wrócić już nigdy. Chciałem uciekać, darmo! Pilnowali mnie dobrze, a przytem za parę dni przeszliśmy granicę kraju, co poznałem po tem, że mówiono tam innym językiem.

Tak więc drogo opłacić musiałem nieposłuszeństwo!

Odtąd zacząłem wieść inne życie. Codziennie stary kuglarz uczył mnie nowych sztuk. Wyłamywał mi kości bez miłosierdzia, tak, że po każdej takiej lekcyi leżałem na wozie nie mogąc ruszyć ani ręką ani nogą, aż po kilku miesiącach dostałem po jego dzieciach stare ubranie i zacząłem wraz z niemi występować w przedstawieniach, dawanych po wsiach i małych miasteczkach. Zwolna przywykłym do tego życia tułaczego i codziennego wyłamywania kości. Było

mi może nawet lepiej, jak moim małym towarzyszom, których nieraz, gdy się nie mogli czego nauczyć, stary bił kijem. Mnie wszystko szło jakoś łatwo; a może pomagała mi w tem owa odwaga, do której zachęcała mnie dawniej moja mateczka. Mój Boże! już nigdy jej nie zobaczę, myślałem sobie, ani ojca, ani babci, ani domu... nigdy... bo całe życie będę się tułać i pokazywać sztuki... I coraz droższemi stawały się dla mnie te wspomnienia z domu, coraz obojętniej patrzyłem na swoje życie, bo mi już wszystko jedno, skacząc po linie lub na wysoko zawieszonym prężniku, czy spadnę i zabiję się, czy żyć dalej tak będę. Coraz bardziej cierpiałem i coraz więcej bolało mnie... serce.

Raz, było to jakoś rok już od czasu kiedy rozpocząłem to nowe życie, gdy stary Cygan, powróciwszy zły jakiś z pobliskiego miasteczka, wszedł pod budę i zaczął z cicha, lecz wzburzonym głosem prowadzić z kobietą rozmowę. Ciekawość mnie zdjęła, podsunęłem się cicho pod wóz i wysłuchałem co mówili.

— Źle z nami, policya go poszukuje — szeptał, ukazując oczyma mój tłomoczek wiszący na kołku. — Trzeba go schować lub wywieźć, jednem słowem pozbyć się jak najprędzej.

— Wiedziałem, że tak będzie — odparła stara — najlepiej wywieźć, ale gdzie?

— O wiem już gdzie, nawet zrobimy jeszcze na nim interes.

Dalej już nie mogłem słyszeć, bo zniżyli głos bardziej. W głowie szumiało mi od samych myśli, że jeszcze mógłbym powrócić do domu, gdyby mnie ta policya, której się obawiali, odnalazła. Chciałem natychmiast biedz, uciekać, ale dokąd?... nie wiedziałem!... Tego samego dnia jeszcze przebrano mnie w chłopskie ubranie, jakie stary kupił we wsi, ostrzyżono krótko włosy i kuglarz zabrawszy ze sobą ruszył w drogę. Długo szliśmy piechotą, potem jechali koleją, której wpierw nie widziałem nigdy w życiu, aż wreszcie zobaczyłem ogromne jakieś miasto i rzekę, wielką jak morze. Był to Hamburg, jak się potem dowiedziałem. Tam zaprowadził mnie do tego oto cyrku, gdzie dotąd jestem i po wielu próbach bardzo ciężkich i pokazaniu wszystkiego, co umiałem, przed tym dyrektorem, którego pan tu widział, zostałem mu sprzedany za dwieście talarów. Dwieście talarów! Jak dziś pamiętam; stary kuglarz z uśmiechem je przeliczył, wsunął do kieszeni, pogładził mnie na pożegnanie ostrą swą dłonią po twarzy, i jak wyszedł, nie spotkałem go nigdy więcej. (Dokończenie nastąpi.)



Święty Atanazy idzie na wygnanie.

(Obacz artykuł na str. 358).

NA OBCZYŹNIE.

Dziwne to ptaszę, to serce nasze!
Raz mu nie dosyć nieba przestrzeni,
To znów po chwili, tęskni i kwili
Do najcichszego gniazdka wśród cieni.

Dawnoż me myśli, istne jaskółki,
Gdy już im u nas brak tchu i słońca,
Jak one w lotne wiążąc się pułki
Rwały się tylko w kraj — świat bez końca.

A otom dzisiaj, jak ptak w przelocie,
Gość w grodzie Romy,*) w świata stolicy,
Idę znów szukać ulgi w tęsknocie,
Gdzie? — w najsmutniejszej tu okolicy,

Której najpierwszą dla mnie ozdobą
Pustynna dzikość, samotność cicha.
Tam się znów czuję jakoś sam z sobą,
Tam znów przeszłością dusza oddycha.

Dalekich dzwonów dźwięk mię dolata,
Kraj przypomina obrazy Litwy:
Wspominam moje dziecinne lata,
Mówię dziecinne moje modlitwy.

I tę myśl naprzód, ku swej nauce,
Czerpię z pobytu między obcymi,
Że gdy do swoich, da Bóg, powrócę,
Chcę już żyć tylko i umrzeć z nimi.

A. E. Odyniec.

*) Rzymu.

ŚW. ATANAZY,

BISKUP I DOKTOR KOŚCIOŁA ŚW.

Ilekroć zaniepokoili heretycy kościół św. fałszywemi naukami o wierze św., zawsze Pan Bóg na pociechę kościoła św. i na utwierdzenie w prawdziwej wierze świętej wiernych jego dzieci wzbudzał świętych i uczonych biskupów, którzy nauki heretyckie tępili i heretyków zawstydzali i poskramiali. Do rzędu tych biskupów należy św. Atanazy, biskup w Aleksandryi największem mieście w Egipcie. Za jego czasu sekciarze, zwani Arianami od Ariusza ich naczelnika, rozkrzewiali swe fałsze we wszystkich krajach katolickich. Ich nauka mieściła w sobie wielkie bluźnierstwo przeciw Panu Jezusowi, naszemu Zbawicielowi, i sprzeciwiała się drugiemu artykułowi składu apostolskiego: (Wierzę) i w Jezusa Chrystusa, Syna jego jedynego Pana naszego. W artykule tym bowiem wyznajemy tę wiarę, że Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel jest prawdziwym i jedynym Synem bożym od wieków i że jest Bogiem prawdziwym. Arianie zaś rozsiewali to wielkie bluźnierstwo, że nasz Zbawiciel nie jest tej samej natury, co Bóg, a więc, że nie jest Bogiem. Przeciw takiemu bluźnierstwu wystąpił św. Atanazy z całą siłą, i słowem i pismem zbijał tę herezyą. Wiara katolicka, prawił św. biskup, ta jest, ażebyśmy jednego Boga w Trójcy czcili. Trzy osoby są w Bogu, Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch św., lecz inną osobą jest Ojciec, inną Syn i inną Duch św. A każda z tych osób jest Bogiem; Bogiem jest Ojciec, Bogiem jest Syn, Bogiem jest Duch św. Jednakże nie jest trzech Bogów, ale jeden jest Bóg. Jest więc ta prawdziwa wiara, ażebyśmy wierzyli i wyznawali, że Pan nasz Jezus Chrystus, Syn boży, Bogiem i człowiekiem jest. Ktoby tej wiary nie wyznawał, zginie na wieki, tak zawyrokował ten wielki nauczyciel prawd boskich. To co św. Atanazy nauczał, było nie jego nauką, ale nauką Pana Jezusa, której ten św. biskup bronił w obec napaści heretyckiej na Najświętszą osobę naszego Zbawiciela. I bronił tej nauki do ostatniego tchu swego życia, ale też za to przez 46 lat cierpiał największe prześladowanie. Przez te wszystkie lata był wprawdzie prawym biskupem w Aleksandryi, ale więcej czasu tułać się musiał po świecie, aniżeli przesiedział na stolicy biskupiej. Arianie bowiem zarazili swą herezyą nie tylko bardzo wielu chrze-

ścian, ale i kapłanów, biskupów i książąt, i umieli tak nikczemnie oskarzać i spotwarzać świętego Atanazego, że co chwilę opuszczać musiał stolicę biskupią i iść na wygnanie. Nieraz wyszły na jaw ich niesłuszne i niesprawiedliwe oskarzenia, i niewinność św. Atanazego biła w oczy wszystkich, a pomimo to św. Atanazy cierpieć musiał prześladowanie. Oskarzono go n. p., że zabił jednego biskupa, i przyniesiono uciętą jego rękę na dowód, ale tenże żywy stanął przed sądem i zawstydził podłych oskarzycieli. Lubo nie było nigdy cienia prawdy w żadnem oskarzeniu św. biskupa, dokazali jednakże jego nieprzyjaciele, że musiał iść na wygnanie aż do dzisiajszego miasta Trewiru. Wrócił później na swą stolicę, ale na to, aby ją znów opuścić. Uciekać też nieraz musiał i kryć się, bo mu grożono śmiercią, a on wierny uczeń Pana Jezusa zastósował się do jego świętych słów: A gdy was prześladować będą w tem mieście, uciekajcie do drugiego. Uchodząc więc przed napaścią kacerzy, ukrywał się raz w studni przez 5 lat, a inną razą nawet w grobowcu swego ojca. Razu jednego Pan Bóg nawet dopomógł mu omylić ścigających go siepaczy. Kiedy bowiem uciekał morzem i dogonili go ci złoczyńcy, Pan Bóg ich tak oślepił, że go nie poznali i mając go za kogo innego, zapytali go, czy nie widział Atanazego. Na to święty biskup nie chcąc skłamać a siebie samego ocalić, odpowiedział im: nie daleko on tu ztąd jest, i tak uratował się od pewnej zguby.

Po tej ciągłej walce z heretykami i po tylu trudach znoszonych w obronie wiary św. i dla chwały Pana Jezusa pozwolił mu wreszcie Pan Bóg spędzić ostatnie dni życia spokojnie na stolicy biskupiej w Aleksandryi, gdzie chwalebnie dokonał swego burzliwego a pracowitego i świętego żywota roku 371. Pięknie głosi Kościół św. jego cześć w pacierzach kapłańskich temi słowy: Ten jest, który przed Bogiem wielkie zdziałał cnoty i cały świat napełniony jest jego nauką.

Za wzorem św. Atanazego:

1. Wytrwaj w obronie wiary świętej i każdej dobrej sprawy: niech cię od tego ani najcięższy trud ani najboleśniejsze cierpienia nie odstraszą;

2. Żyj niewinnie i sprawiedliwie, a żadne oszczerstwa i potwarze nie zaszkodzą twej cnocie.

Człowiek a ptaki.

Myśl wynalezienia balonu, którymby kierować i sterować można, po tylu niefortunnych próbach i usiłowaniach, porobionych w ostatniej połowie tego wieku, którym i czas i pieniądze, a nawet życie w ofierze złożyło wielu odważnych i wysoce uzdolnionych mężów, pomału ustępuje z porządku dziennego. Co raz więcej nabiera wagi przekonanie, iż człowiekowi użycie powietrza pozostanie niemożliwem, dopóty całe zadanie będzie się zasadzało na tem, aby ogromną, nieraz jak dom wielką kulistą bryłę z płótna napełnionego gazem zawsze wlec ze sobą jak nierozerwalne pęta. Wszelkie zakusy w tym względzie — to mrzonki! Niech przyrządy sterowe wyglądają, jak chcą, czy jako żagle, czy jako śmigi wiatraka lub stery u okrętów, — przed wiatrem się nic nie ostoi. Różnica cała między sztuką kierowania okrętem a balonem polega na tem, że u pierwszego wchodzą w grę dwa żywioły: woda i powietrze, — u drugiego tylko jeden: powietrze.

Niezmordowany umysł ludzki przez to jednak nie porzucił raz powziętych zamiarów, owszem jeszcze szczerzej się zbadaniem warunków zajął, na jakich latanie człowieka w powietrzu umożliwićby się dało, i to go na inne naprowadziło drogi. Dziś z całem zajęciem

obserwuje się i bada niedoścignionych w tym względzie mistrzów, lekkoskrzydłych ptaków, w nadziei, że jeżeli wiadomości i wymysły ludzkie za słabemi i nieudolnemi się okazały, to może uda się podpatrzeć i wykraść przyrodzie zagadkę tak ciekawą, a tak szczelnie dotąd ukrywaną przez dokładne zważanie i jak najżywsze baczenie na zjawiska w życiu ptactwa.

Z pomiędzy tego jest przedmiotem bardzo częstych badań, może najczęstszych, — nasz bocian, nasz woś, zarówno czy zwolna po nad wioską i okolicznemi łąkami zatacza koła w powietrzu, czy też klekocąc z radości, stoi na jednej nodze wśród swego potomstwa w gniaździe, — a nikt podobno, wedle zdania pewnego znawcy, nie robi tak trafnych spostrzeżeń, któreby można nazwać wstępnemi studyami do przyszłej jazdy powietrznej, jak lud wiejski. Po za nim pobudzają do żywszego zajęcia gołębie, jaskółki, ociężała zwykle, ale czasem też szybka jak błyskawica — wrona, chyży kulik (mewa), zdumiewając nas nieraz szybkością, pewnością i trwałością lotu, z jaką bujają w żywiole, w którym się swobodnie obracać, choćby tylko w ograniczonym stopniu, nadaremnie człowiek od lat tysięcy pragnie!



Brutus, Rzymianin, wydaje wyrok śmierci na własnych synów. (Obacz objaśnienia rycin na str. 368.)

Pędząc jak szalony, przebywa pociąg pospieszny przy jednym tylko przystanku przestrzeń 65 mil w 9 do 10 godzinach, którą gołąb pocztowy przebywa w nieco więcej nad 5 godzin, ulatując z całą swobodą 12 mil w godzinę. Mówimy: z całą swobodą, — bo przy wyścigach gołębi między Gandawą a Rouen jeden z nich uleciał nawet 25

mil w godzinie. Tak szybką jest także nawet wrona w wolnym locie na większe odległości; przebywa ona — jak stwierdzono wieloletniemi doświadczeniami — morze północne (Nordsee), 80 mil szerokie, w przeciągu trzech godzin. Na to potrzebuje najszybszy parowiec pospieszny 7 do 8 razy tyle czasu. Nie jest to jednak jeszcze szczytem szybkości ptasiego lotu. Północna ludarka modrogardła, która nie należy jeszcze do najszybszych ptaków, przelatuje podczas swych wędrówek przeciętnie 45 mil, a pewien ptak wędrowny amerykański, tak zwany bekas wirgiński, nawet 53 mile, jak z całą pewnością stwierdzono. W obec takiej szybkości można bieg pospiesznego pociągu, przelatującego najwyżej 10—11 mil, nazwać śmiało powolnym, ślimaczym ruchem. Nasz bocian ma nawet wtedy, kiedy w cichy wieczór letni prawie bez poruszenia skrzydeł, opieszale się bujając, wraca z łowu na żaby i tym podobne łakocie, jeszcze szybkość zwyczajnego pociągu osobowego. Do jakiej właściwie szybkości lot ptaka dojść może, kiedy wszystkie swe siły wytęży, najlepiej poznać można po wielkich pozamorskich wędrówkach jego, w czasie których mają jaskółki i gęsi islandzkie do 50, jastrzębie do 80, a prawdziwe latawce morskie nawet do 150 mil w jednej godzinie przebiegać. (Nawiasem powiedziawszy, mowa tu wciąż o milach niemieckich = 7 i pół kilometra).

Szybkość sama nie jest jednak jedynym szczytem sztuki latania po powietrzu, zgrabność i łatwość, z jaką się ptactwo w powietrzu porusza, nawet na

pozór ociężałe, mimo rozlicznych przeszkód, wyrachowanie (że tak powiem), z jakiem korzysta z każdego nadarzającego się powiewu i prądu powietrza, raczej jeszcze nas więcej zadziwić może. Któżby nie był już podziwiał nieraz ładnych kół i zakrętów, które zataczają w krainie obłoków, czasem bez poruszenia skrzydeł, bociany lub ptaki drapieżne, chociaż na ziemi zaledwie leciuchny wietrzyk wieje? Co prawda, to tam u góry rzadko panuje taka cisza jak u nas.

Jedno z pierwszych miejsc w tym względzie przypada albatrosowi, który podług zgodnych w tym punkcie orzeczeń nadmorskich mieszkańców i żeglarzy w opanowaniu prądów powietrznych prawdziwie niedoścignioną odznacza się zgrabnością. Z nieruchomo wyciągniętemi skrzydłami przebiega on powietrze w całym pędzie w każdym kierunku, zrywa się nagle do góry, spada jak strzała do wody, skoro dojrzy w niej nieostrożną rybkę, wzlata znowu i okrąża maszty okrętowe w zygzakach i liniach wężowych, na pozór bujając swawolnie i nie zwracając uwagi na nic, a w rzeczywistości czyhając tylko na zdobycz, i chwyta w pędzie każdy kąsek, który mu kucharz okrętowy lub majtek dla zabawy rzuci. Co więcej! Jak jaki linoskoczek cyrkowy przelatuje przez oka sieci na masztach, które zaledwie są tak wielkie, że przedostać się przez nie może, z niezawodzącą nigdy pewnością, nie zwalniając ani na chwilę biegu.

Albo czyż to nie piękny widok, jak ptak drapieżny w małych, równych zakrętach kolistych wzbija się prostopadle w niebo, nie drgnąwszy nawet skrzydłami, aby potem z wysokości ogromnej, wśród szumiącego wichru, nieruchomie, jak gdyby był z kruszcu ulany, szczelnie przepatrzeć góry i doliny, pola i lasy! A nawet dla niejednego ptaka nie potrzeba zakrętów kolistych, aby wzbić się w górę. Myszołów (busard), którego ja widziałem — pisze pewien badacz — znajdował się na wysokości 70 metrów w gronie licznych towarzyszów, kiedy naraz wstrzymał się w pędzie i zupełnie prostopadle bez uderzenia skrzydłami wolno wzniósł się w przeciągu jednej minuty na wysokość 300 metrów. Coraz wyżej a wyżej unosił się ptak a za nim reszta towarzyszów, aż go na wysokości co najmniej 4000 metrów lekkie obłoki zasłoniły przed memi oczyma.

Jak ptak ciężkość własną i pod skrzydłami jego powstające ciśnienie powietrza zużyć potrafi, jest dowodem na to następne spostrzeżenie. Pewien kruk za pługiem podskoczył tylko metr w górę i to mu wystarczyło, iż mógł, pomału opadając w ukośnym kierunku, a nie poruszając skrzydłami, ośmdziesiąt metrów za pługiem ulecieć, zanim znowu nogami dotknął się ziemi. Też kruki często przy silnym wietrze, zwróciwszy się przeciwko niemu przodem, jak komary podnoszą się i spadają prostopadle bez poruszenia skrzydeł. Jest to dowodem, iż raczej zgrabność i przyrodzona łatwość zużywania wszelkich warunków otaczającej nas atmosfery, aniżeli siła muszkułów i nadzwyczajne zdolności umożliwiają ptakom latać po powietrzu i dochodzić w tej sztuce do takiej doskonałości. Otóż to jest pewnik oparty na długoletnich, ścisłych doświadczeniach, on to podstawą, na której nowoczesna aeronautyka czyli nauka latania po powietrzu oprzeć się musi.

Znakomite zasługi położył w tym względzie Francuz Marey, wynalazłszy sposób fotografowania w mgnieniu oka. Sposób ten, użyty w celu uwidocznienia ruchów skrzydeł u ptaków latających, nader jasno wszelkie przemiany w poruszaniu nam unaocznił i spowodował, iż zbudowano ptaka z lekkiego materyału, który jak najwierniej ruchy ptaków, odfotografowane przez Mareya, odtwarza. Ale to jeszcze zawiłego zadania, jakby człowiekowi umożliwić lot powietrzny, wcale nie rozwiązało. Tymczasem jazda balonem trwa dalej i trwać będzie jeszcze długo; my w każdym razie nie dożyjemy pewnie odkrycia, które dla świata będzie miało znaczenie takie, jak pary i elektryczności, i prawdziwie ogromne wywoła zmiany w pożyciu ludzi.

NAJWIĘKSZA RZEKA NA ŚWIECIE.

Rzeka Amazonka i jej poboczne w południowej Ameryce dostarczają przeszło 50 tysięcy mil wody, na której żegluga odbywać się może, to jest, na której statki płynąć mogą.

Kiedy kto na okręcie z Europy do tej okolicy Ameryki przyjeżdża, gdzie rzeka Amazonka do morza Atlantyckiego wpada, to zobaczy w morzu wielkie pasmo wody, mającej farbę czekoladową, która się od wody morskiej niejako na osobności trzyma i zmięszać się z nią nie chce. Gdyby kto z okrętu tej wody naczerpnął a posmakował, przekonałby się, że to woda słodka, a więc nie morska. To jest właśnie woda z rzeki Amazonki, która z takim pędem i tak szerokiem korytem wlewa się do morza, iż niejako wody morskie przed nią się rozstępują. Ujście południowe Amazonki (zwane Rio de Gram Para) jest szerokie, jak morze; dzieli się ono w dwa ramiona, ażeby opasać wyspę Marajo, która jest większa, aniżeli jedna prowincya Stanów Zjednoczonych Ameryki, zwana Stanem Nowojorskim.

Trudno sobie przedstawić niezmierną rozległość tej rzeki z jej zaplątaną siecią rzek pobocznych, kanałów, gęsto drzewem zarośniętych wysp, jezior i strumieni, które dosięgają wszystkie kraje południowej Ameryki z wyjątkiem Chile i Patagonii, a którą niejedni podróżnicy porównywali z archipelagiem, a drudzy nazwali morzem śródziemnem zachodniej części kuli świata. Mając źródła około 60 mil od oceanu Spokojnego, przerzyna całą południową Amerykę aż do Atlantyku i dostarcza 50,000 mil żeglugowej wody, której większą część mogą użyć parowce.

Każda z ośmiu jej główniejszych rzek pobocznych jest przeszło 1000 mil długą a przeszło 350 odnóg łączy się, aby tworzyć główny strumień. Największy okręt kiedykolwiek zbudowany mógłby prostą drogą płynąć na 1000 mil odległości od ujścia, podczas gdy setki i setki mil wdłuż dolnej jej części są pobocznymi kanałami, zwanymi »igaripes« (ścieżki dla łodzi), po których statki mogą płynąć, nie wchodząc wcale do głównego kanału rzeki.

Basen Amazonki jest potrójnie tak wielkim, jak basen rzeki Mississippi, obejmujący jeszcze nieprzebyty olbrzymi las 1500 mil długi i 1000 szeroki, którego krańce tylko zostały wykarczowane przez kilku awanturników szukających gumy, drzewa żółwiowego, mahoniu i innych gatunków cennego drzewa. Przy ujściu mierzy rzeka od brzegu do brzegu 180 mil i jest 320 stóp głęboka; w Santaren, najgłówniejszem, wewnętrznem mieście Brazylii, jest 10 mil szeroką i hen nad granicą brazylijską jest 70 stóp głęboką a 2300 mil od morza jest jeszcze na milę szeroką. Rozumie się, że rzeka tak wielka nie zadowolniłaby się jedną nazwą. Indyanie nazywają ją jeszcze, jak ich przodkowie, Parana-linga lub Parana-ussu. Europejczycy, jej odkrywcy, mniemając, że mają przed sobą morze wody słodkiej, nazwali ją Santa Maria de la Mer Dulce, i dopiero w r. 1540 jeden z żołnierzy Pizzara nazwał ją »Amazon.« Był to kłamliwy Don Orelana, który płynął z Peru i opowiadał dziwne awantury o przygodach z wojowniczkami Amazonkami, które napotkał po drodze. Od rzeki »Czarnej« aż do granicy Peruwii nazywa się ta rzeka »Rio Salimoens,« a część jej położona w Peruwii Maranon. Najbardziej na południe położona rzeka poboczna »Mandelra« poczyna się w Boliwii, niedaleko od rzeki Rio de la Plata, a największa północna rzeka poboczna »Rio Negro» jest połączona z rzeką Orinoko w Wenezueli przez kanał wielki zwany »Cassignari.«

Trzydzieści milionów stóp kubicznych wody wypływa z Amazonki co 60 sekund. Prąd zwyczajny wynosi cztery mile na godzinę. Na 900 kilometrów od ujścia można uczuć w rzecze przy-

pływ i odpływ morza. Natura pomaga żeglarzowi na tej drodze wodnej, gdyż prąd jest ku wschodowi, podczas gdy wiatry przypływowe wieją od Atlantyku, tak iż jednym statkom pomaga prąd, drugim wiatr od morza wiejący. Roczny jej wzrost i upadek jest innem dziwem. Rzeki poboczne bywają zawsze podsycane przez deszcze i ulewy, tak iż w głównym strumieniu woda nigdy nie jest nizką.

Największy przypływ wody ma Amazonka, gdy słońce się znajduje na południe od równika, gdyż większa część rzek pobocznych znajduje się w południowej części tej części kuli ziemskiej. Różnica pomiędzy najwyższym a najniższym stanem wody wynosi 50 stóp, a podczas powodzi niezmierne obszary stoją pod wodą, jako i olbrzymie lasy, tak iż wierzchołki drzew z niej wyglądające są podobne do krzewów, i niepodobieństwem jest utrzymywać się w znanych kanałach; dla tego też istnieje w niektórych porach roku największe niebezpieczeństwo w tem, iż żeglarz nie może utrzymywać się na regularnej drodze i często ginie w nieznanych lasach. Raz w sześciu latach przypływ wody jest o wiele znaczniejszym, niż w innych, a wtenczas grozi jeszcze większe niebezpieczeństwo przez ten przypływ znany jako Piroroco, który podróżnicy opisują, jak następuje: »Podczas trzech dni przed nowiem i pełnią, czasem największego przypływu, zwłaszcza w każdym szóstym roku, morze zamiast zwyczajnie potrzebować sześć godzin dla przypływu, wznosi się do najwyższej wysokości w minucie lub dwóch minutach. Huk tego straszliwego przypływu można słyszeć o kilka mil, a huk powiększa się coraz bardziej.

Naraz widzimy płynący przylądek dwanaście do piętnaście stóp wysoki, po którym następuje drugi i trzeci, a czasem i czwarty w szybkiem następstwie. Te wodne góry zabierają całe łożysko i przybliżają się z największą szybkością zabierając i niszcząc wszystko. Olbrzymie drzewa padają ich ofiarą, a często bywają zabierane znaczne obszary roli. Szczęściem jest, że ci, którzy żeglują po rzece, wiedzą, kiedy się spodziewać tego Pirococo i chronią się do pewnych miejsc, aż do przejścia jego.

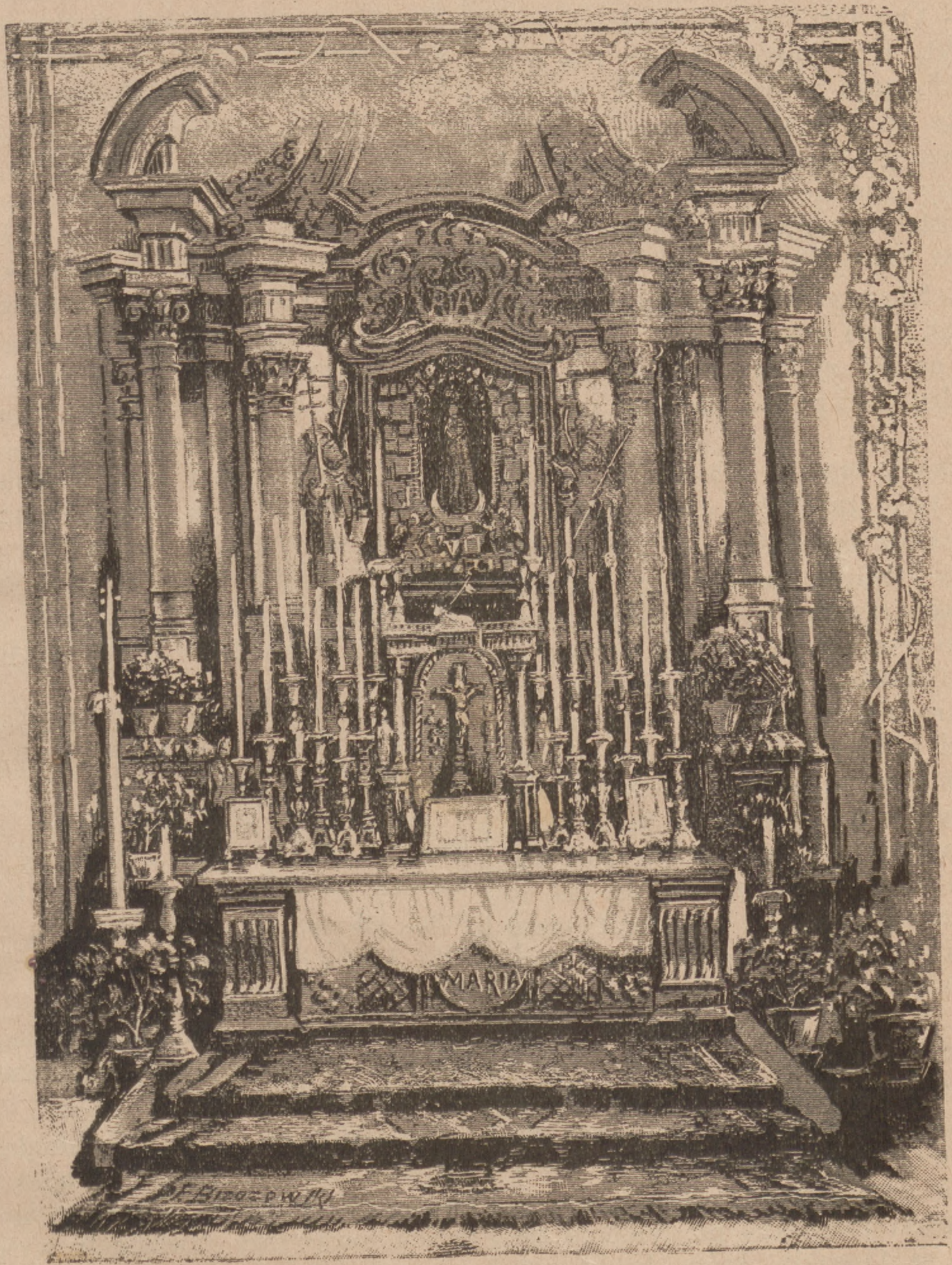
SIŁA UCZUCIA.

PODANIE DAWNE.

Przed wiekami pewna niewielka wysepka, jedna z wysp Hebrydzkich, kwitła szczególniejszem szczęściem, niby raj maleńki, zamieszkany przez kilka licznych, pracowitych rodzin, używających w zgodzie i spokoju swobodnego i pełnego prostoty życia. Wtem okrutni rozbójnicy morscy, grasujący po wszystkich morzach wówczas znanych, dowiedzieli się o cichym, szczęśliwym zakątku, zajrzawszy raz doń przypadkiem, i postanowili z odkrycia korzystać. Więc najprzód zaczęli grabić i łupić wszystko, co mogło im się przydać, nawet młodych chłopców i młode dziewczątka porywając do siebie na ciężką służbę, jeżeli nie zdołała młodzież, wypatrzywszy ich zbliżanie się do wysepki, uciec i ukryć się w niedostępne i trudne do znalezienia kryjówki w skałach. Potem, gdy nie było co brać i gdy rozbójnicy spostrzegli, że młodzież nauczyła się ukrywać, wzięli się na inny sposób. Oto chwytali kogobądź, choćby najstarszych ludzi, którzy i uciekać nie mogli i ukryć się gdzie już nie mieli, i na wzgórzu umyślnie, aby to było widocznem, mordowali ich, zadając najsroższe męczarnie, chcąc bólem wydobyć u nieszczęsnych wyznanie, gdzie są ukryte jakiekolwiek zapasy i młodzież. Dużo starców umierało, nie wydawszy nic; ale i tak się

zdarzało, że dzieci i wnuki, słysząc jęki konających, wybiegały same z kryjówek i oddawały się rozbójnikom, aby starców ocalić.

mieszkańców, bo nie wiedzieli ani dnia ani godziny, w których powrócić miało nieszczęście, a powracało niechybnie. Nie warto było nawet starać się o utrzyma-



Ołtarz z figurą M. Boskiej cudami słynącej w Skępem.

(Obacz objaśnienia rycin na str. 368.)

Straszna rozpacz zapanowała wśród zgłodniałej i umęczonej ludności na szczęśliwej dotąd wysepce. Chociaż rozbójnicy odpłynęli, rozpacz nie opuszczała

nie życia, gdy wszystkie owoce starań i trudów wróg zabierał wraz z życiem samem. Nieszczęśliwi zamyślali już wszyscy od razu rzucić się w morze i tak zakoń-

czyć nędzę swoję, gdy wtem jeden ze starców rzekł:

— Czekajcie, spróbujmy jeszcze jednego sposobu!

— A jakiż tu sposób istnieć może!... — westchnęli zrozpaczeni.

— Oto taki: wszak wiadomo wam, że wódz rozbójników, którzy nas mordują, dla tego właśnie trafił do naszego zakątka, że sam zeń pochodzi i bratem jest naszego poczciwego Oswalda; ale porwany dzieckiem wraz z łódką przez fale, dostał się w ręce rozbójników i wśród nich na rozbójnika wyrósł...

— Niestety! wiemy o tem dobrze, — zapłakali i inni nieszczęśliwi — bo wszakże on na tej niby to zasadzie, że ztąd pochodzi, rości prawo do panowania nad nami.

Oswald, mąż w sile wieku, nic nie mówił, tylko zakrywszy twarz, płakał.

— Otóż to właśnie — mówił dalej starzec — na tej zasadzie, że i rozbójnicy mają zawsze zwyczaj, jakby na urągowisko prawom, udawać, że działają na jakiejś zasadzie..., niech Oswald dla dobra rodzinnej wyspy i całej naszej ludności poświęci się, niech się odważy na rozmowę ze swoim strasznym bratem i niech mu powie, że jeżeli jeden brat ma prawo do panowania nad wyspą dla tego, że się na niej urodził, to takie samo prawo ma i drugi brat; niech rozsądzi to prawo pomiędzy dwoma braćmi pojedynek, którego Oswald zażąda. Wiemy, że takie rzeczy dzieją się między rozbójnikami, że oni robią sobie z nich rozrywkę, więc kto wie, może też nie zamordują Oswalda od razu, lecz pozwolą mu z sobę rozmawiać i może rozbójnik przystanie na pojedynek, a wtedy reszta zależałaby już tylko od rozumu i sił Oswalda, który kocha serdecznie nas wszystkich i swoję własną liczną rodzinę i wyspę, na której prochy jego pradziadów spoczywają, a wiadomo, że rozum i siły mają źródło w sercu, w uczuciu...

Umilkł starzec i wszystkie oczy błagalnie zwróciły się na Oswalda. On odkrył twarz łzami zalaną i rzekł:

— Uczynię powinność moję, żegnajcie! — i wziąwszy kawał żagla na żerdź wysoką i dużą konchę, służącą do przesyłania głosu daleko, poszedł na miejsce, gdzie zazwyczaj rozbójnicy wylądowywali, i czekał, a wszystka ludność skryła się, jak mogła. Czekał, aż niespodzianie, jak zawsze, ukazała się z daleka wielka łódź rozbójnicza. Natenczas Oswald zaczął machać żaglem na żerdzi i wołać przez swoję konchę to wszystko, co mówił starzec, w tych słowach:

— Bracie mój, straszny rozbójniku, słuchaj mię, bom jest Oswald, brat twój bliźniak, i chcę ci słowo powiedzieć!

Oswald dla tego tak zdaleka wołał, że z bliska możeby czasu na rozmowę nie było, gdyż rozbójnicy częstokroć mordowali ludzi przed rozmową. Usłyszano i zrozumiano jego wołanie i na łodzi, zbliżającej się ciągle tymczasem, powstał ogromny, o dwie głowy od towarzyszy wyższy dowódca i zawołał, biorąc się jedną ręką w bok, a w drugiej gołym i błyszczącym wymachując mieczem:

— Jam jest pan i władca wyspy, na której zrodzony byłem, czegóż to chcesz odemnie, bliźniaku?

— Jeżelim ja ci bliźniak, — odparł wtedy Oswald — to wyspa, na której byliśmy zrodzeni, jednakowo tak do mnie, jak do ciebie należy; dla czegóż więc i jakiem prawem ty sam jeden jej władcą się mienisz?

— Dla tego, żem nią zawładnął; kto ma siłę, ten ma prawo! — dumnie odpowiedział olbrzym.

— Albo to ty nią zawładnąłeś? — krzyknął na to Oswald — albo to ty masz siłę? To ręce i miecze licznych twoich towarzyszy zawładnęły wyspą, to oni mają siłę, ale nie ty!

— A to i prawda! — rozśmiali się towarzysze rozbójnika. To dotknęło dumę jego, zaczerwienił się i zakrzyczał:

— Niech i tak będzie! Słuchaj, mój bliźniaku, pojedynkujmy się, kto zwycięży, zawładnie wyspą!

— Niech tak będzie! — rzekł Oswald.

— Niech tak będzie! — powiedzieli rozbójnicy i wylądowali na skały, na których stał Oswald. Rozbójnik brat zbliżył się do bliźniaka, zmierzył się z nim, a widząc jego głowę poniżej swej piersi, wzruszył wzgardliwie ramionami i usiadł spokojnie na skale.

— Któż będzie układał warunki pojedynku? — spytali rozbójnicy.

— Wy! — odrzekli bracia bliźniacy. Rozbójnicy zasiedli, naradzili się i taki wydali wyrok:

— Odpłyniemy od wyspy na kilka mil, tam spuścimy na fale dwie te oto maleńkie łódki, dwaj bracia bliźniacy wsiądą, jeden w jednę, drugi w drugą, i popłyną, a my popłyniemy za nimi. Który z nich dwóch prześcignie drugiego i własnem ciałem i krwią dotknie gruntu rodzinnej wyspy, ten będzie nad nią panował, a drugi odejdzie w pokoju.

Dwaj bracia przystali na taki wyrok, któremu nic nie można było zarzucić, gdyż takie »dotknięcie ciałem i krwią« było najstarożytniejszą formą »wzięcia w posiadanie,« jaka istniała na lądach i morzach. W tem to właśnie znaczeniu i Bolesław Chrobry mieczem swoim »dotykał« bramy kijowskiej, bardzo być może, że prócz tego dotykał jej i gołą ręką, »własnem ciałem i krwią,« wedle starego zwyczaju. Tak rozsądzili rozbójnicy i natychmiast zajęto się tym pojedynkiem. Wszyscy wsiedli napowrót do ogromnego statku rozbójniczego, odpłynęli na kilka mil od brzegu, spuścili dwie maleńkie, jednakowe łódki, każda o dwóch wiosłach i żaglu, w każdą wsiadł jeden bliźniak, i na dany znak obie pomknęły razem, odepchnięte od wielkiego a bystrego statku, który posunął z daleka za niemi.

Oswald, choć nie olbrzym, był przecież dzielny, zręczny i silny; z początku więc doskonale się trzymał, a nawet, jako daleko zręcznieiszy, na czem olbrzymom najczęściej zbywa, zaczął wkrótce znacznie brata prześcigać, tak, że gdyby wyścig trwał krócej, byłby wygrał niezawodnie. Odległość jednak była za daleka na zwykłe ludzkie siły, więc olbrzym o sile nadzwyczajnej, co z początku na zręczności stracił, to później zaczął wytrwałą siłą odzyskiwać. Gdy trzy części drogi przepłynęli, on się już z bratem zrównał. W czwartej części płynęli jakiś czas równo, bo nieszczęsny Oswald, krwawym potem i krwawemi łzami oblany, dobywał sił ostatnich z głębi kochającego serca; ale wszystko ma swe granice... W pobliżu wysepki olbrzym zaczął znacznie brata wyprzedzać, a wkrótce już mu potrzeba było tylko kilka razy wiosłem uderzyć, aby na pierwszy brzeg wyspy mógł wyskoczyć. A wtem Oswald, czerpiąc pomysł i siłę w rozpaczy, wyskoczył ze swego czołenka w morze wśród skał przybrzeżnych i kładąc swoję lewą rękę na skale, odciął ją jednem cięciem miecza, potem, wziąwszy tę lewą rękę w rękę prawą, cisnął ją z takim zamachem, że upadła krwią zbroczona na wybrzeże wysepki rodzinnej, a Oswald krzyczał:

— Oto biorę Boga na świadka, że ciało moje i krew moja p i e r w s z e dotknęły gruntu rodzinnej wyspy!

Olbrzym stanął jak wryty w łódce swojej i wielki rozbójniczy statek zatrzymał się także nieruchomo... a potem jeden i drugi zawrócili i znikli wkrótce na krańcach widnokręgu, nie dotknąwszy więcej stopą wysepki bliźniaka Oswalda.

Uratowani i wdzięczni mieszkańcy okrzyknęli władcą swym Oswalda, żądając, aby r ę k a z a k r w a w i o n a była odtąd jego znakiem rodowym. Jakoż ród Oswaldowy przez wiele wieków panował nad szczęśliwą znowu wysepką, a jedna z najznakomitszych rodzin szkockich posiada dotąd w herbie swym r ę k ę z a k r w a w i o n ą.

Oswald miłował ziemię ojczystą, wolność swoję i współziomków, dla tego taką ofiarę poniósł. Ziemię ojczystą i współbraci kochać, jest obowiązkiem każdego człowieka.

WIERZBA.

W pustem polu wierzba dzika
Nieforemna, niewesoła,
Biedna — kroku wędrownika
Ku sobie zwabić nie zdoła.

Bez owocu i bez woni,
Nawet cienia liść nie daje,
Więc i ptactwo od niej stroni,
Ciągnąc bokiem w piękne gaje.

Nie dziw, że się wierzba dąsa,
A widząc w drugich przyczyny
Swego żalu, — drugich kąsa,
Nie chcąc przyznać się do winy.

Tak się wierzba ciągle gniewa,
Ale w niczem się nie zmienia:
Każdy więc unika drzewa
Bez owocu i bez cienia. —

Chcesz, by drudzy cię szukali:
Stań się dla nich pożytecznym;
Chcesz, by drudzy cię kochali,
Bądźże i ty dla nich grzecznym!

Czesław Lubiński.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Brutus, Rzymianin, wydaje wyrok śmierci na własnych synów. Piękny obrazek w dzisiejszem »Świetle« przedstawia ustęp z dziejów bardzo dawnych, z czasów pogańskiego Rzymu.

Z początku panowali nad Rzymem królowie. Ostatnim z królów był Tarkwiniusz Pyszny. Już sam przydomek »pysznego« wskazuje, że to nie był król, jak się należy. Jaka mać, taka nać; takoż też i synowie królewscy sprosnymi ludźmi byli. Jeden z nich znieważył żonę obywatela rzymskiego, co tak oburzyło cały naród, że pod dowództwem Brutusa zwalił króla z tronu i Rzym od panowania królów uwolnił.

Nastały tedy inne czasy. Na czele państwa stanęli dwaj konsulowie jako rządzcy. Brutusa obrano jako pierwszego na ten wysoki urząd.

Lecz król Tarkwiniusz przemyśliwał nad tem, jakby znów władzę odzyskać. W tym celu uciekł się do podstępu i zdrady. Wyprawił poselstwo do Rzymu, żądając zwrotu zabranego majątku osobistego. Podczas gdy rządzcy (czyli senat) obradowali, jak sobie postąpić mają, posłowie króla utworzyli w Rzymie sprzysiężenie przeciw konsulom. W żadnem państwie nie brak ambitnych ludzi, którzy w nadziei zaszczytów i bogactwa kraj zdradzić gotowi. Tak i w Rzymie tacy się znaleźli i spisek utworzyli.

Dwaj synowie pierwszego konsula, Brutusa, też się dali namówić i przystąpili do spiskowców. Lecz pewien niewolnik, wysłuchawszy, co spiskowcy między sobą mówili, doniósł władzy. Wnet wszystkich sprzysiężonych wyłapano i stawiono przed sąd konsula Brutusa. Tenże mąż skazał wszystkich na śmierć za zdradę ojczyzny. Pomimo, że dwaj jego synowie byli między spiskowcami, nie pozwolił się nakłonić do łagodności: »Ojczyzna przedewszystkiem, — rzekł; wprzód byłem obywatelem, niż ojcem.« Choć mu się serce ojcowskie z bólu krajało, nie zmiękł, bo chciał pokazać sprawiedliwość i miłość dla ojczyzny.

Obraz z figurą M. Boskiej cudami słynącej w Skępem. Miasteczko Skępe leży w powiecie lipnowskim w Polsce. Kilka tysięcy kroków od miasta stoi kościół, w którym się znajduje figura Matki Boskiej, cudami słynącej. Według zapisków klasztornych nabyła tę figurę Zofia, córka kasztelana Kruświckiego, Mikołaja Kościeleckiego, w Poznaniu roku 1496 i przywiózłszy go do Skępego, umieściła w kapliczce. W r. 1498 wystawił biskup chełmski, ks. Mikołaj Kościelecki, większy kościół, do którego figurę przenieść kazał, oddając kościół pod zarząd księży Bernardynów. W r. 1755 za pozwoleniem papieża Benedykta 14-go odbyła się uroczysta koronacya figury Najśw. Panny. Ceremonii dokonał ks. Fabian Pląskowski, biskup płocki. Figura jest drewniana; wyobraża Bogarodzicę w dziecinnym wieku, z koroną na głowie, otoczoną promiennemi gwiazdami; po bokach są dwa aniołki i księżyc pod nogami. Wszystko to ze srebra.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Pączki.** Na $1^1/_2$ klgr. mąki wziąść 12 żółtek, cukru miałkiego $^1/_4$ klgr. ubić mocno razem z pomienionemi żółtkami, osobno zaś ubić pianę z dwóch białek i zmięszać z temiż. Rozrobić 7 dkgr. dobrych drożdży w $^1/_2$ litrze słodkiej śmietanki, i tę wlać do ubitej massy z żółtek i dobrze łyżką wymięszać. Połowę mąki z powyżej wymienionej wagi wziąść na rozczynę, a drugą do zamięszania: ciasto, które powinno być wolne, dobrze wybić, dodać do tegoż trochę wanilii, lub skórki pomarańczowej, szklankę przetopionego masła i kieliszek rumu. Gdy tylko ciasto [illegible] trzeba zaraz wy- [illegible] układać [illegible] wetą. Każdy pączek rzuca się do gorącego smalcu wierzchem do spodu, nakrywa szybko rondel pokrywą, a gdy się pączki przyrumienią, przewraca je na drugą stronę, nie przykrywając już pokrywą.

— **Prosty sposób łapania i tępienia ptaków drapieżnych w zimie.** Z cienkiej tektury lub grubego papieru sporządza się tulejkę czyli lejek. Przeznaczeniem tegoż jest, ażeby wysmarowany wewnątrz lepem, przykleił się do głowy i przodu ptaka drapieżnego, jak wrony, kruka, gawrona, kawki i t. p., — z tego powodu rozmiary lejka zastósowane być powinny do wielkości ptaka.

Na spód lejka wtłacza się kawałek surowego mięsa i przymocowuje takowe, przewiązując silnie szpagatem przez połowę, po nad dolnym brzegiem lejka; lub też cienkim drucikiem krzyżowo przez mięso i lejek przeciąga o tyle, by mięso na dnie lejka dobrze przytwierdzone zostało. — Lejek smaruje się dobrze wewnątrz lepem z jemioły (Viscum album). Tak przyrządzony lejek, lub kilka tychże, wtyka się w śnieg końcem, do którego mięso jest przymocowane tak, ażeby szerszy otwór górny strychował ze śniegiem i nad powierzchnię śniegu nie wystawał. Ptak drapieżny unosząc się w powietrzu lub szukając żeru, łatwo mięso czerwone zoczy i chciwie na takowe się rzuci, spuściwszy jednak głowę w lejek dla porwania mięsa, przylepi się do niej; wówczas wzniesie się, lecz mając lejek na głowie, a zatem oczy zakryte, przestraszony szamotać się i spadać będzie, a zanim od lejka się uwolni, złapanym lub z łatwością zabitym być może.

Cała skuteczność tego sposobu zawisła od dobroci lepu.

— **Mycie flaszek.** Rozpuszcza się chlorek wapna w wodzie, biorąc tegoż 18 gram. na $1^1/_2$—2 klgr. wody, i napełnia wodą tą flaszki. Po 2—3 dniach, przy bardziej zanieczyszczonych po 4 do 5 dniach, wylewa się tę wo- [illegible] jednak jeszcze do mycia innych flaszek użyć można) — a flaszki napełnia wodą czystą i płucze. W miejsce chlorku wapna możnaby także użyć zwykłego proszku niegaszonego wapna.

— **Jakie pokarmy są najstrawniejsze?** Doświadczenia czynione w żołądku za pomocą sondy przekonały, że do najstrawniejszych pokarmów należą: bulion, sok mięsny, mleko, jaja surowe lub na miękko gotowane, sucharki i angielskie herbatniki. Drugie miejsce zajmują: mózg cielęcy, amoretki, gotowane kurczęta i gołębie, (które muszą być jednak młode i jedzone bez skóry), dalej nóżki cielęce gotowane i tapioka. Na trzeciem miejscu można postawić mięso wołowe surowe, lub napół upieczone, siekaną szynkę surową, puree z kartofli, chleb pszenny ale niezbyt świeży, kawę z mlekiem i bułką. Do czwartej kategoryi należą: pieczone kurczęta, pieczone gołębie, sarna, pieczona cielęcina, pieczone kuropatwy, rozbif (zwłaszcza na zimno), makaron, rosół z ryżem, szpinak, zając pieczony. Z ryb najzdrowsze są pstrągi, nie należy ich jednak nadużywać. Wino pić można, ale w nader małej ilości, gdyż opóźnia strawienia. Po tych czterech kategoryach pokarmów, które w skutek doświadczeń okazały się najłatwiejsze do asymilacyi, następują inne, do strawienia trudniejsze, jako to: zupy ze śmietaną, mięso przyprawione korzeniami, sałaty, jarzyny, potrawy mączne, leguminy i t. d. Owoce łatwo się trawi i należą do rzędu pokarmów bardzo zdrowych, ale pod warunkiem, żeby były zupełnie dojrzałe i w dobrym gatunku. Doktór Laure, który badał wielokrotnie żołądek za pomocą sondy i na zasadzie doświadczeń podzielił pokarmy na cztery kategorye wymienione, utrzymuje, że w siedm godzin po przyjęciu pożywienia, żołądek będący w normalnym stanie zdrowia, już jest pusty.

Ogród owocowy.

(Dokończenie.)

Obieranie owoców wymaga również staranności; nie należy nigdy obierać zbyt wcześnie, przed dojściem ich do zupełnego wzrostu. Owoce trzeba zdejmować z drzewa razem z szypułką, gdyż to zwiększa piękny ich wygląd. Szczególną uwagę poświęcić trzeba przy zbieraniu owocom pokrytym barwą, jak śliwki, renklody, morele, gdyż bez barwy nie tak pięknie wyglądają. Do zbierania używać trzeba nie głębokich, ale szerokich koszów, Otrząsanie, obijanie, ściskanie. kaleczenie owoców, nie powinno nigdy mieć miejsca. Aby owoce dobrze się przechowywały, powinny być obierane podczas pięknej pogody; jeśli wypadnie tę czynność wykonywać podczas deszczu, wówczas należy układać owoce pojedyńczo, aby prędzej obsychały. Najgorzej jest strącać owoce kijami z drzewa; wtedy częstokroć tracą one całą swą wartość. Otrząsanie może mieć miejsce tylko przy pospolitych gatunkach, przy wielkiej ich obfitości, tak że ręczne ich obieranie zabierałoby zbyt wiele

czasu. Ponieważ przytem wiele owoców zostaje uszkodzonych, przeto taki owoc nie trwa długo i prędko gnije. Do przechowywania owocu służy suche, przewiewne, jednostajnie chłodne i od mrozu zabezpieczone miejsce, jak naprzykład sucha izba, albo piwnica. Pospolite owoce można na słomie usypać na kupę; lecz im więcej wysoką będzie taka kupa, tem owoc lepiej się przechowa. Częste przebieranie i odrzucanie nadpsutych owoców jest konieczne. Dla przechowania przez zimę stołowych owoców potrzeba odpowiedniego schowania; im ono będzie chłodniejsze i suchsze, z temperaturą nie ulegającą zmianom, tem powolniej odbywać się będą chemiczne przemiany przy rozkładzie owoców powstające. Temperatura w składzie owoców powinna się utrzymywać między + 3⁰, a + 5⁰R. Ważną przytem jest rzeczą przy przechowywaniu owoców niedopuszczanie światła. Owoce obwinięte papierem przechowują się bardzo dobrze, tylko należy kiedy niekiedy papier odmieniać. Większe ilości owoców układają się na półkach lub ramach obciągniętych siatką, co ułatwia łatwe ich przeglądanie. Użytki z owoców są tak rozmaite, że tutaj najgłówniejsze z nich tylko wskazać możemy. Świeży owoc oprócz spożywania na surowo, znajduje obszerne zastósowanie w kuchni. Suszone owoce, w wielu okolicach stanowią ważny artykuł handlu. Suszenie to odbywa się w rozmaity sposób; przy większych ilościach owoców budują się oddzielne suszarnie. Do prędkiego obierania owocu ze skórki służą umyślnie do tego celu zrobione maszynki. W gospodarstwie, ważną odgrywają rolę powidła ze śliwek i wiśni, jako też z jabłek i gruszek, jako jedna z najzdrowszych i najsmaczniejszych przypraw. W niektórych okolicach Niemiec mianowicie nad Renem, zakiszają jabłka, tak jak u nas kapustę. Wyrabianie win owocowych, jak np. jabłeczniku i gruszeczniku bardzo mało jeszcze jest u nas rozpowszechnione, a przecież mogłoby ono stanowić najkorzystniejsze zużytkowanie owoców ziarnowych, dostarczając najliczniejszej klasie ludności taniego, zdrowego i orzeźwiającego napoju, zwłaszcza tam gdzie chodzi o zużytkowanie w krótkim czasie wielkiej ilości owocu.

Dla małych ogródków zaleca się uprawa w większych ilościach agrestu i porzeczek, z których dają się wyrabiać fermentowane napoje, bardzo do wina podobne. Wszelkie konfitury z owoców i jagód dają możność zaopatrzenia stołu przez rok cały w najwykwintniejsze przysmaki.

Rozmaitości.

* **Czy słusznie wiek nasz nazywają papierowym?** Żaden materyał tak się nie rozwielmożnił w naszem stuleciu i tak rozlicznych nie znalazł zastósowań jak papier. Dziś każd[illegible] może być wy[illegible] papieru, któremu przez ciśnienie nadają tak wielką trwałość, że przenosi pod tym względem stal i żelazo. Wyrugowałby on wszelki inny materyał, gdyby był tańszym. Papier do wyrobu przedmiotów codziennego użytku musi pochodzić z płótna, wiadomo zaś, że szmaty płócienne są bardzo drogie. W rzędzie przedmiotów wyrabianych obecnie z papieru, na pierwszem miejscu musimy postawić piece. Widzę już wyraz niedowierzenia na twarzach czytelników, a jednak to najczystsza prawda. Grube arkusze papieru, ściśnięte za pomocą prasy hydraulicznej i maczane w roztworze, który je zabezpiecza od ognia, stanowią materyał lekki i trwały na piece przenośne. Z papieru wyrabiają się trwałe półmiski i butelki, które, zwłaszcza w aptekach, są bardzo cenione; szyny kolejowe i koła do wagonów; wanny do kąpieli i beczki do nafty lżejsze i trwalsze niż drewniane; pasy do maszyn o wiele tańsze niż rzemienie. W Ameryce robią buty papierowe, które mają tę wyższość nad skórzanemi, że są nieprzemakalne, gdyż nie mają ani jednego szwu. Pracują tam również nad przygotowaniem papierowej tkaniny, któraby zastąpiła sukno; podobno próby wypadły bardzo pomyślnie. Robią z papieru ramy do drzwi i okien, używają go do ozdób stiukowych, zamiast ciężkiego i nietrwałego gipsu. Nawet sprzęty i pianina mogą być przygotowane z tego materyału. Podkowy dla koni z papieru mają tę wyższość nad żelaznemi, że nie trzeba ich przybijać, tylko się je przylepia; są trwalsze, lżejsze, elastyczniejsze i lepiej przylegają do kopyta. W Niemczech wyrabiają z papieru trzonki do siekier, pił, młotów i t. p.; są one lżejsze i trwalsze niż drewniane. Budują już nawet domy z papieru; na liniach kolei przechodzących przez góry Harz, domki dróżników wzniesiono z tego materyału. Papierowe baraki dla wojska okazały się nader praktyczne i zostały wprow[illegible] [illegible], a cienkie skrawki papieru napchane w poduszkę zastępują puch i pierze. Jeżeli dodamy do tego olbrzymią ilość papieru zużytkowanego przez dziennikarstwo, to z wszelką słusznością wiek nasz będzie można nazwać papierowym.

* **Jakie są zwyczaje przy grzebaniu umarłych u rozmaitych ludów?** Mało jest ludów, któreby nie oddawały ostatniej posługi zmarłym; do nich należy plemię Miao-tse, zamieszkujące góry na zachodzie Chin. Kafrowie rzucają zwłoki do wielkiego dołu spólnego całemu pokoleniu i oddalonego od wsi, a dzikie zwierzęta pożerają je. Mongołowie porzucają na drogach trupy, w niektórych zaś miejscowościach Tartaryi odrzynają ciało od kości i karmią niem psy. Cyceron pisze, że w Ilirkanii istniała rasa psów, które pożerały zwłoki; w Baktryi nadto dawano psom na pożarcie starców i nieuleczalnie chorych. Persowie i Tybetanie oddają ciała na łup ptakom drapieżnym; umieszczają trupy na platformie wieży i obserwują, które oko zostanie najprzód wydziobane; z tego wysnuwają wniosek, jaki los spotkał duszą zmarłego. U wielu plemion indyjskich

w Ameryce północnej istnieje ten sam zwyczaj. W Polinezyi suszą starannie zwłoki na słońcu, wyjąwszy z nich poprzednio wnętrzności. Na Jawie i w Nowej Zelandyi rodzina wraz z przyjaciołmi pożerają zmarłych. W Syamie rzucają trupy do wody; ten sam zwyczaj istnieje u niektórych plemion afrykańskich. Koptowie budują dla zmarłych domki, gdzie trzy razy do roku zgromadza się cała rodzina i tam spędza noc całą; rano zabijają barana a podzieliwszy się nim, oddają resztki ubogim. Świat chrześciański grzebie w ziemi zwłoki, a palenie ciał nie może znaleść zwoleników. W Grecyi do trumny kładą pieniążek srebrny; jest to zabytek pogańskich czasów, kiedy umarłemu dawano pieniądze na opłacenie przewozu Charonowi.

* **Wielcy poeci**, uczeni, filozofowie, i myśliciele bywali w ogóle małego wzrostu, kiedy przeciwnie znakomici wodzowie, mężowie stanu i mówcy odznaczają się wysokim wzrostem lub tuszą. Można wiele przytoczyć przykładów na poparcie tego twierdzenia: Washington był bardzo wysoki, tak samo Karol Wielki, Kortez, Wallenstein, Jan III, Wiśniowiecki Jeremi, Wellington, Lincoln, Gladstone, Bismark, Cleveland, jenerał Shermann. Jeżeli niektórym znakomitym ludziom zbywało na wzroście, wynagradzała to nadmierna tusza, jak tego mamy dowód na Napoleonie, Cavourze, Sheridanie i Gambecie.

* **Hrabstwo San Diego** w południowej Kalifornii, było niedawno widownią niezwykłego zjawiska: pewnego dnia zauważono, że woda ukazuje się na powierzchni gruntu około kopalni soli Salton Salt Works; ilość jej powiększała się z każdą chwilą i utworzyła niebawem jezioro 10 mil kw. powierzchni a głębokie na 3 do 8 stóp. Jednocześnie w Indian Wells, o 60 mil ang. od Salton powstało też jezioro mające 40 mil kw. obszaru i równie jak tamto głębokie. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że oba te jeziora się połączą i utworzą jedno, które w takim razie miałoby 50 mil długości a w niektórych miejscach byłoby na 400 stóp głębokie.

* **Brazylia** została odkryta w roku 1500 przez portugalczyka Pedra Cabral i stała się posiadłością Portugalii. W roku 1624 Niderlandy ją zagarnęły, ale musiały opuścić w r. 1661. W r. 1820 wojska portugalskie w Brazylii podniosły bunt i wymogły konstytucyą od króla Jana VI-go, który osadził tu syna swego don Pedra, jako regenta. W dwa lata później don Pedro niezadowolony z zależności od Portugalii, ogłosił niepodległość Brazylii i przybrał tytuł cesarza. Niedługo jednak panował, gdyż ciągła anarchia i kłopoty finansowe zmusiły go do abdykacyi na rzecz dziewięcioletniego syna, don Pedra II w r. 1831. Rewolucya z r. 1890 strącił z tronu tego ostatniego i cesarstwo brazylijskie, istniejące zaledwie lat sześćdziesiąt ośm, zostało zamienione na rzeczpospolitą.

* **W ostatnich czasach** porobiono w Belgii ciekawe spostrzenia, chcąc się przekonać, w przeciągu jakiego czasu się zużywają szyny kolejowe. I tak stwierdzono, że szyny na przestrzeni jednej mili pod wpływem jednorazowego przejechania po nich pociągu średniej długości i z przeciętną szybkością tracą na wadze jeden kilogram. Ponieważ zaś na całym świecie długość szyn wynosi obecnie okrągło licząc, 60 tysięcy mil, po których przeciętnie dziennie 10 pociągów przechodzi, zatem strata dzienna żelaza u szyn dochodzi ogromnej ilości 600 tysięcy kilogramów czyli 12 tysięcy centnarów. Cała ta masa ulatnia się jako delikatny pył, miesza się z piaskiem i ginie w ziemi.

ŻARTY.

Skromny.

— Spełniliście kradzież z olbrzymią bezczelnością.

— Proszę pana sędziego, w tem rzemiośle to się skromnością do niczego nie dochodzi.

— Proszę was, weźcie mnie na wóz chociaż z tyłu.

— Jak chcesz, żydzie; ale drabiny są słoniną posmarowane.

— Ny, jak tak, to jedźcie z Bogiem, a ja pójdę piechotą.

U lekarza.

— Prócz dotkliwego bólu głowy, właściwie nic mi nie jest, panie doktorze. Jadam, jak wilk; pracuję, jak koń; wieczorem znużony zwykle jestem, jak pies; sypiam jak suseł; trawię, jak struś...

— Za pozwoleniem, w takim razie powinien się pan udać wprost do weterynarza.

Na lekcyi geografii.

— Kto mi powie, co to jest góra?

— Góra, panie profesorze, jest to miejsce, gdzie wiesza się bieliznę po wypraniu.

Dobra żona jest najdroższą perłą, zdobiącą skroń męża; zła — rakiem, który toczy jego ciało.

Treść zeszytu 23 „Światła“:

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.